Nr. 14. We Lwowie dnia 3. kwietnia 1898. Rok 6.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z pobytu Władysława Żeleńskiego w Pradze.

WSPOMNIENIE Z R. 1860-1,

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.

(Ciąg dalszy).

Do zaznajomienia się z rodakami, którzy dobrowolnie dla chleba do Złotej Pragi wyemigrowali, niemiałem ani sposobności, ani czasu, a zwłaszcza ochoty, uważałem bowiem takie wychodźtwo za szkodliwe i dla kraju i dla jednostek, które wyrwane z pnia rodzinnego zmarnieć, wynarodowić się muszą. Za to poznałem się bliżej z profesorem H. Sucheckim. Wykładał on na wszechnicy praskiej porównawcze językoznawstwo słowiańskie, a zwłaszcza gramatykę polską. Orłem nie był, przymiotów, wywołujących sympatje młodzieży, nie posiadał to też pomiędzy jedynym profesorem Polakiem na uniwersytecie czeskim, a akademikami polskimi nie było żadnej zażyłości. Posiadał zato jedną cnotę: głębokie poczucie obowiązku i wielką miłość dla języka naszego. Tak był zapalony do swego przedmiotu, iż mimowoli chwytał za serca i zniewalał do poszanowania tej namiętnej miłości do mowy ojczystej. Ponieważ wśród młodzieży słowiańskiej zaledwie kilku posiadał słuchaczów, postawiliśmy to sobie za punkt honoru, aby jako hospitanci po koleji chadzać na jego wykłady, czem go sobie bardzo ujęliśmy. Stąd wywiązały się u profesora co 2 tygodnie wieczorne przyjęcia, na których toczyła się swobodnie rozmowa o literaturze i sprawach, agitujących się w kraju, zwłaszcza w Królestwie; czasami dały się słyszeć śpiewki, szczególniej ludowe, których zapas nieprzebrany posiadał Lewicki, a już powszechna zapanowała radość, gdy niespodzianie, chociaż bardzo rzadko, Żeleński zasiadł do fortepjanu i wygrywał swe cudne pieśni z nieodzowną mimiką tak wyrazistą, że i uszy i oczy zarówno się rozkoszowały. Szczególniej „Kukułka“ i „Pieśń żeglarzy“ zawsze zachwyt ogólny i poklask wywoływały. Punktem kulminacyjnym tego pożycia towarzyskiego była składkowa wieczerza we wigilję Bożego narodzenia w domu profesora urządzona. Odbyła się całkiem podług zwyczaju polskiego przy stole sianem zasłanym, z obowiązkowemi 12 potrawami i chórem odśpiewanej pieśni: „W żłobie leży...“. Łamiąc się opłatkiem, wszyscy jedno sobie powiedzieliśmy życzenie: wrócić jak najprędzej do kraju i znaleźć najodpowiedniejsze tam stanowisko do pracy dla dobra ogólnego. Nawet profesor, porwany ogólnym zapałem oświadczył, że starać się będzie stanowczo, aby został przeniesiony do Krakowa.

Żyjąc tak serdecznie z ziomkami, nie zaniechałem bynajmniej poznajomienia się i wiązania z młodzieżą słowiańską w celach politycznych. Grunt był świeżo powstałymi stosunkami w Austrji po zeszłorocznym pogromie we Włoszech przygotowany i nader podatny do wspólnej pracy. Narodowości słowiańskie zaczęły poprostu wrzeć nowem życiem w zaraniu ery konstytucyjnej, szukać jedna u drugiej punktów styczności, porozumienia, poparcia. Naturalnym biegiem rzeczy młodzież kształcąca się w Pradze, musiała jako kwiat narodu tem bardziej być przenikniona tchem ożywczym, tem silniej wstrząsana prądami, elektryzującymi wszystkie ludy w Austrji. Niezmiernie ułatwił mi zadanie Lewicki przez rozległe swe stosunki i mir, jaki posiadał nietylko wśród Czechów, ale i pomiędzy młodzieżą ruską, serbską, kroacką i bułgarską. Niebawem dobrawszy sobie z każdej narodowości po dwóch członków, samych tuzów, utworzyliśmy pierwszy związek wszechsłowiański z programem o trzech zadaniach: 1) budzić i rozwijać głównie przez oświatę poczucie narodowości i godności człowieczej w najniższych warstwach każdego narodu; 2) przygotowywać i przeprowadzać w każdym kraju organizację i gromadzić środki materjalne od walki o niepodległość; 3) starać się poznać nawzajem przez obznajomienie się z dziejami urządzeniami społecznemi i potrzebami każdej

narodowości. Praktycznem uzupełnieniem punktu ostatniego miały być wędrówki na ochotnika członków do poszczególnych krajów, zwłaszcza Słowiańszczyzny południowej. Drogą prywatnych zebrań i pogadanek zyskaliśmy w krótkim czasie dużo zwolenników, tak że, ośmieleni powodzeniem, zwołaliśmy pod pozorem wesołego obchodu nocy sylwestrowej pierwsze wielkie zgromadzenie, aby publicznie obwieścić, rozwinąć i uzasadnić program powyżej wzmiankowany. Zebrało się w ogromnej piwiarni Szarego kilkaset młodzieży różnojęzycznej, lecz jednym ożywionej duchem; poważne przemowy, ochocze śpiewki narodowe, mistrzowskie deklamacje, huczne toasty, przyciszone rozmowy poufne po różnych kółkach i kątkach zajęły cały wieczór, nie wywoławszy najlżejszego nawet dysonansu. Gdy północ wybiła, zahuczało, jak w ulu i niby rój pszczół wysypali się wszyscy zgromadzeni na pobliski placu Karólowy z gromką pieśnią na ustach: Hej, Slovanie!... Ponieważ melodja jest ta sama, co w marszu Dobrowskiego, więc my Polacy huknęliśmy naszą: „Jeszcze... nie zginęła.“ Tak powitano Nowy Rok 1861 w Pradze. Zaledwie atoli czoło pochodu dotarło do środka placu, wyskakuje nagle ze wszystkich stron zaczajona czereda policjantów, okrąża zgromadzonych i bez wezwania płazuje dobytymi pałaszami każdego, który się nawinie. Szpiedzy zaś, którzy już, jak to później wyszło na jaw, w piwiarni nas śledzili i podsłuchiwali, a potem razem z nami wyszli, nuż uganiać za upatrzonemi naprzód ofiarami, nuż chwytać i odprowadzać do aresztu. Czesi, którzy przeważną większość zebranych stanowili w jednej chwili tył podali i znikli, obcy, mniej obeznani z miejscowością i nie poczuwając się do żadnej zbrodni, pozostali w liczbie kilkudziesięciu na miejscu i zaprotestowali w sposób spokojny przeciw napaści. Szpicle, wyłowiwszy kogo im było potrzeba, pozostawili nas w spokoju. To też na miejscu uradziliśmy wspólnie z pozostałymi Kroatami, Serbami i kilkoma Czechami, którzy się niebawem pojawili, aby się udała niezwłocznie deputacja do namiestnika cesarskiego z zażaleniem na gwałt policji i z prośbą o udowodnienie zaaresztowanych kolegów. Wczesnym rankiem deputacja została rzeczywiście przyjęta, a po zbadaniu sprawy uwięzieni akademicy niezwłocznie uwolnieni. Skropiło się na dyrektorze policji, który w parę miesięcy po tej awanturze został przeniesiony. Był-to ów głośny swego czasu radca Englisch, mający na utrapienie mieszkańców długie potem jeszcze lata urzędować w Krakowie. I dla mnie miało to zajście wcale niewesoły epilog. W kilka dni później otrzymałem pozew, abym się stawił do policji. Przyjął mnie komisarz trzema pytaniami: czym był 31 grudnia wieczorem w kawiarni Szarego? czym przemawiał do zebranych? czym śpiewał na placu publicznym?. na które trzy razy odpowiedziałem: tak. Wtedy zawiadomił mnie najuprzejmiej, że z rozporządzenia p. dyrektora policji mam po trzech dniach opuścić Pragę. Na takie dictum acerbum poprosiłem go, aby zawiadomił p. dyrektora primo, że jestem imatrikulowanym słuchaczem zwyczajnym wszechnicy praski, sąd więc i wyrok nademną należy w pierwszej instancji do senatu akademickiego, którego opieki niezwłocznie zażądam, secundo, że jestem tu jako poddany pruski za paszportem pruskim, więc odniosę się do ambasadora pruskiego we Wiedniu, ze skargą na prześwietną dyrekcję policji austrjackiej, która mnie w środku semestru akademickiego chce wyrzucić z miasta za to, żem pił piwo, przemawiał w zamkniętem miejscu i śpiewał sub Jove frigido na powitanie Nowego Roku. Po dość długich ceregielach, policja złagodniała; skończyło się na tem, żem jej musiał wystawić cyrograf niezwłocznego wyjazdu z Pragi, z końcem semestru zimowego. Pospieszyłem zatem przesiedlić się do koszar położniczych, raz aby dokończyć kursu, a potem, aby zejść na pewien czas z oczu policji, która mnie argusowo śledziła. Po 6 tygodniach ciężkiej pracy i niedospania wskutek zajęć fachowych, przeniosłem się na mieszkanie do koszar polskich, w pewnej kamienicy przy ulicy Sirkowej, w której mieściła się większość naszej gromadki. Tam doczekałem końca semestru, pozostając w najserdeczniejszej zażyłości ze wszystkimi, a gdy przyszło się żegnać, choć łza cisnęła się do oka, z ust wypłynęła pieśń zuchowatości młodzieńczej: „Wesoło żeglujmy, wesoło — Po życia burzliwym potoku“. — Mimo rozstania bowiem, pozostały stosunki szczerej naszej przyjaźni nietknięte i niepokalane, ani czas ich nie rozluźnił, ani oddalenie nie zerwało. Dziś większość już wymarła, część gdzieś się zawieruszyła, kilku tylko żyje, lecz ci z pewnością zaliczają czasy praskie do najpiękniejszych wspomnień młodości. Portrety każdego z nich byłyby interesujące i ciekawe. Ograniczę się na skreśleniu dwóch: pierwszego, który żyje, stał się głośnym i jest chlubą naszego narodu; drugiego już nieboszczyka, cichego lecz niemniej zasłużonego.



Cicha pracownica.

—



Często, znużeni powszednością otaczającego nas życia, w dusznej atmosferze rosyjskiego zaboru, z utęsknieniem zwracamy się myślą do tych lat już ubiegłych, gdy społeczeństwo żyło bardziej czynnem a idejowem życiem, gdy więcej

było bohaterów, szermierzy wolności i męczenników! Czytając o ich czynach, stawiąc przed oczy całą szczytność ich usiłowań, nieraz z żalem i zniechęceniem myślimy sobie: dlaczegoż my nie znaliśmy tych ludzi, czemu nie żyjemy w podobnych czasach? Czy już dziś nie zagrzewa serc do boju wiara w ideały, czy wszyscy są zajęci tylko kultem złotego cielca?

Myśląc tak, a marząc o bohaterach i przodownikach, porywających nas potęgą swego słowa, pociągających swem męztwem i zapałem, nie widzimy i nie podejrzywamy nawet, że tuż obok nas, być może za ścianą, w podobnież niedogodnych warunkach, żyją cisi pracownicy idei, którzy głębokością swego uczucia i wytrwałością w pracy może nawet i przerośli niektórych bohaterów, a tylko ciasne szranki życia politycznego ros. zab. nie pozwalają im się rozwinąć, stać na widowni, zasłynąć — albo też są oni ludźmi skromnymi, którzy nie pożądają rozgłosu i marnej sławy, w cichem obowiązkowem pełnieniu tego, co uważają za pożyteczne, znajdują najwyższe zadowolenie i zaspokojenie swych pragnień.

Taką właśnie cichą pracownicą była Jadwiga Brunakówna.

We dwa tygodnie po przyjściu na świat straciła ojca, do lat 14-tu wychowywała się w domu, kształcąc się u nauczycieli pod okiem matki; mieszkała w Żytomierzu. Potem zamieszkała z matką w Kijowie, wstąpiła do 5-tej klasy Podolskiego gimnazjum i skończyła 8 klas chlubnie. Była zdolną i nadzwyczajnie pracowitą. Po ukończeniu nauk w gimnazjum, zajmowała się lekcjami prywatnemi i zawsze dużo pracowała nad sobą. Ale nie zadawalniała jej żmudna praca nauczycielki prywatnej — pragnęła coś robić dla młodszych braci, dla ludu. To też rozwinąwszy ogromny zasób energji w przeciągu 2-ch tygodni biegając po różnych końcach miasta, uformowała sama małą szkółkę, złożoną z 14 dzieci rodzin rzemieślniczych i robotniczych. Przez sześć lat niezmordowanie pracowała w tym kierunku tak gorliwie, że zupełnie zrujnowała zdrowie.

Kochała swoje zajęci i nigdy mniejszej liczby nad 14 dzieci nie miała, a jedno półrocze było 20*). Przy tem utrzymywała stosunki z rodzicami swoich uczniów, bywając u nich, dając książki do czytania. Dla dzieci urządzała kilka razy na rok różne zabawy — choinki, teatrzyki amatorskie, uczyła śpiewać chórem pieśni patrjotyczne. Jaki miała grosz, to wszystko wydawała na książki dla dzieci i starszych, zapominając zupełnie o swoich potrzebach, często niezbędnych. Prócz tego miała stosunki z fabrycznymi robotnikami, starając się i tam nieść oświatę. Całe swoje krótkie życie poświęciła biednym rodakom. Nieraz gdy które z dzieci parę dni nie przychodziło na lekcje, szła dowiadywać się o przyczynę — a ponieważ cały dzień miała zajęty, więc późnymi wieczorami leciała na dalekie przedmieście, nieraz wracając o godz. 12-tej w nocy. Wróciwszy z takiej wyprawy, jeszcze zasiadała do pracy, poprawiała wypracowania i czytała sama. Nadzwyczaj była cierpliwą i miała dziwny dar nauczania — zdarzały się nieraz dzieci bardzo niezdolne i nierozwinięte — pod jej wpływem zmieniały się do niepoznania. Kochały też bardzo swoją „Panią“, jak ją nazywały. Tak umiała sobie zjednać sympatję ogólną biedaków, że o ile z początku trudno było wyszukać dziecko, potem sami przychodzili, błagając jakby o największą łaskę, żeby przyjmować ich dzieci. A kiedy kończyły kursa wyznaczone, prosiły: „niech pani jeszcze nas uczy, proszę nas nie rzucać“. Zawsze też utrzymywała stosunki i z temi dziećmi, które już ukończyły. Plan nauk wypracowała sama. (Język polski, historja polska, trochę wiadomości z literatury, język rosyjski, arytmetyka, geografja, fizyka, trochę botaniki i zoologji). Plan ten często potem stosowały do swych wykładów inne nauczycielki.

Wszystko, co powyżej opowiedzieliśmy, nie wydaje się wcale czemś nadzwyczajnem, ale zważywszy warunki, w jakich żyjemy, możemy to nazwać bohaterstwem.

W ciągu lat 6-ciu żyć nie mając żadnej pewności dnia jutrzejszego, pod grozą aresztu i procesu sądowego, utrzymując starą matkę, a zawsze od rana do nocy, mając przy sobie nie w sali klasowej, ale w ciasnym dusznym pokoiku nie kilka, lecz kilkanaścioro dzieci — to bohaterstwo! Jadwiga Brunakówna była całkowicie oddaną swej pracy. Nie bywała w „towarzystwie“, bo nie zadawalniały jej płytkie rozmowy, konwenanse, flirt i żarty salonowe. Nigdy jednakże nie słyszeliśmy, aby to wszystko krytykowała i użalała się. Mówiła tylko, że szkoda na to czasu. Natomiast, jeśli chodziło o zebranie jakiej składki, o rozprzedanie loterji, o pomoc jakiej ubogiej rodzinie, z podziwu godną energją nia wahała się wejść do bogatego domu i rozbawionym ludziom przypomnieć o ich powinności społecznej.

Nie możemy jednak powiedzieć, że jej życie było szare, monotonne i smutne! Przeciwnie, było ono barwne, jasne, głębokie! Pamiętam pewnego poranku wszedłem do mieszkania p. Jadwigi w dzień Jej imienin! Zdziwiony byłem świątecznym iście nastrojem, jaki panował w skromnem mieszkanku. Wśród pięknych róż, chryzantem, hjacyntów leżały pięknie oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, Orzeszkowej, poezje Konopnickiej, albumy,

*) Dzieci różnego wieku, więc z każdem należało zająć się osobno, co przeciągało się często aż do nocy.

fotografje, wreszcie cukierki, torty i inne słodycze z najlepszej cukierni miejskiej. Zdziwiły mię ta wykwintność, ten przepych. Czyżby? Ale na chwilę nawet przyjść mi do głowy nie mogła myśl o takiej rozrzutności ze strony p. Jadwigi, lub jej matki. Wkrótce rzecz się wyjaśniła ... Piękne chryzantemy i hjacynty przyniosły dzieci ogrodnika, który hodował te kwiaty w doniczkach przez parę miesięcy dla swej „panienki“. Wykwintnie oprawne dzieła, to owoc pracy skromnego introligatora, cukierki i tort przyniosły dzieci służącego od lat kilku w cukierni rzemieślnika.

Wkrótce pokój zapełniła gromadka dzieci o płowych, jasnych i ciemnych główkach. Rozpoczęły się uroczyste po vinszowania, wierszem i prozą. Wieczorem dnia tegoż urządzono gry towarzyskie, śpiewy, deklamacje i inne zabawy. Rozochoconym dzieciom przypatrywali się stojący na boku ich rodzice — szewcy, ogrodnicy, lokaje i inni wyrobnicy. Oblicza ich pałały dumą i rzewnością, a niejeden, ściskając mi rękę, rzekł: „Panie! to wszystko owoc Jej pracy.. Ona nietylko uczy dzieci nasze, ona żyje z nami, ona nas kocha. Ci prości ludzie umieli być wdzięcznymi i z pewnością żadna nauczycielka arystokratycznego domu nie doznała tylu dowodów serdeczności i przyjaźni. W chorobie, gdy ją odbiegli nawet doktorowie i najbliżsi znajomi, oni dawali jej nieustannie oznaki pamięci.

Jadwiga Brunakówna nie była nieszczęśliwą. Przeciwnie była zadowoloną, ciesząc się rezultatami swej pracy. Żywo interesowały ją zawsze sprawy ogółu, a szczerze trapiły laury ugodowców, chociaż nigdy nie wierzyła w ich trwałe powodzenie i popularność wśród naszego społeczeństwa.

Żyć chciała gorąco, aby dalej pracować, a jeszcze na dni kilka przed śmiercią, łudziła się nadzieją odzyskania zdrowia i snuła projekty nowych szkółek i nowych zajęć.

Z górą 50 dzieci różnego wieku przeszło przez jej ręce, kilkanaście przedostało się do średnich zakładów naukowych, dziesiątki rodzin zachowało o niej pamięć najlepszą, gdzie mogła — niosła pomoc materjalną, lub otuchę moralną, zostawiła trwałą pamięć po sobie — jaką jest miłość maluczkich! Jakże mizernemi są w obec tego utyskiwania naszych panien, kończących średnie szkoły, a nie wiedzących co robić Narzekają one na ogólny zastój i bierność społeczeństwa, czekają jakichś komendantów, którzy wskażą, co mają do zrobienia, bo one niezdolne są szukać dróg nowych i iść z pochodnią oświaty do ludu, jak to czyniła Brunakówna! Jakże jałowemi wydają się mizdrzenia naszych studentów, szukających wciąż „nowych programów“. Gotując się do czegoś większego, jak uczenie dzieci i wchodzenie w stosunki z klasami niższemi, uważając to ostatnie za „marną filantropję“, sami skazują siebie na bezpłodność. Cóż by powiedzieli, gdyby ich śmierć zaskoczyła? Czyby pozostawili jaki ślad po sobie?

Dla tych wszystkich i dla innych, którzy coś robią, pamięć pracy i zasług Jadwigi Brunakównej, powinna być wskazówką, zachętą pobudką i wzorem do naśladowania. Cześć jej pamięci! *J. Motor.*



Sporne terytorja.

(Ciąg dalszy).

Ale czuhy białe nigdy nie miały żadnego cyfrowania, żadnej ornamentyki, noszone w przeciwieństwie do bronzowych, wdziewane nie na rękawy (w rzadkich i wyjątkowych chyba razach), lecz śpięte kramlą pod szyją i zarzucone na ramiona, tak że mogły swobodnie być przesuwane na bok lub piersi w miarę zimna, lub wiatru dla zasłonięcia tej lub owej części ciała, pozostawiając swobodną rękę prawą do ciupagi i w ogóle oręża. Dłuższa i cięższa bronzowa czuha zdaje mi się być zabytkiem ludu przeważnie osiadłego, rolnego, spokojnego i poważnego, biała—krótka, piękna, dogodna — przeważnie ludu pasterskiego, bujnego, wojowniczego, i w każdym razie zwycięskiego. Zapanowała tuż ona na całym pasie karpackim, od źródeł Wisły, do źródeł Cissy, ba nawet dalej — do ujścia Dunaju, gdzie już przechodzi w długą opończę mołdawską, której krótka peleryna jest tylko parafrazą pierwotnej czuhy.

Wspomniany parę razy Andrzej Słodyczka tak mi raz powiedział:

W Kamyśnicy (albo na Krzywe) cztery mile od Zywca, co przy granicy węgierskiej, nie obdolno Trencyna nosą do dziśka taki oblek, jak drzewie w Zakopanem. Tam tez owies mielom na pojedynek, nie na pytel.

Wyrażenie „do dziśka“ nie wiem, jak rozumiał mówiący: czy polegał na opowieściach ojca lub, dziada, czy spółczesnych ludzi, choćby z przed paru dziesiątków lat. Jeśli p. Zawiliński pojedzie w owe strony raz jeszcze, warto, aby tę rzecz zbadał: z przedłożonych bowiem przez niego opisów i rysunków okolicy skalitego stwierdzić niepodobna podania słodyczkowego. Że jednak fakt, przez niego podany istniał w całej prawdzie jeszcze w zeszłym wieku, mam dowód na ręcznej mapie komitatu trenczyńskiego i orawskiego, znajdującej się w Ossolineum pod nr. 70. katalogu map, a wy-

konanej snać później od powyższej spadkobierców Homanna, bo na niej Skalite już należy do Węgier. Dla zrozumienia tego, co tam zobaczyłem i łączności z twierdzeniem słodyczkowem — słówko jeszcze o nakryciu głowy góralskiem. Dzisiejsze niskie kapelusze tak o równych sztywnych skrzydłach podhalskich, jak miękkich odwiniętych spiskich i jak widzę — skalickich — są już pochodzenia nowszego Czy się one wzorowały na ogólnej modle europejskich, lub może rozwinęły się z hełmów średniowiecznych, nie mogę w tej chwili rozstrzygnąć. Dawniejsi wszakże górale nosili inne — wysokie i spiczaste, jak głowa cukru. Brano skórę baranią, lub jagnięcia, ściągano całą tak jak się to czyni i dziś na gajdy (dudy) i wkładano taki worek na głowę, wełną na wierzch, Część skóry z główką baranią lub jagnięcą zarzucało się na plecy i wisiała jak czepiec, nóżkami zaś jagnięcemi wiązano czy przymocowywano taką czapkę pod szyję. Któż w tem nie pozna stroju pierwotnych Scytów, lub Daków i w ogóle Traków, przechowanego dotychczas w lisich lub bursuczych czapkach litewskich. Z tego pierwowzoru rozwinęła się następnie czapka misterniej robiona, z obciętą głową i nóżkami baraniemi, a zakończona spiczasto, ale wysoka i stercząca. Tak było na Podhalu podług zeznania starych górali. Owóż na wspomnianej mapie ręcznej węgierskiej, u prawego jej rogu jest namalowany wizerunek stojącego górala — widocznie w celach etnograficznych — jako illustracja typu ludności, osiadłej w wyrytowanych na mapie komitatach. Stoi ten góral z maczugą, ustawioną na ziemi grubszym końcem, a na cieńszym oparł łokieć ręki prawej, na której dłoni wsparł twarz, czuha na nim krótka biała, zarzucona na ramiona, z pod czuhy wygląda koszula, której rękawy zwisłe szerokie. Tak to nosił zwykle Sabała, i tak noszą dotąd na Spiżu, a szersze, niż u Skaliczan na rysunkach p. Z..., natomiast takie same białe obcisłe nogawice, pas szeroki i kierpce, umocowane u kostek nóg zwijane nie rzemykiem, lecz sznurkiem wełnianym, jak to kobiety góralskie i dziś czynią, a w niektórych miejscowościach i mężczyźni jeszcze zatrzymali. Przypomina to obuwie staro-greckie i staro-italskie Czapka na nim właśnie taka wysoka i spiczasta, jak powyżej naszkicowana staroświecka podhalska, roboty już wtórnej, misterniejszej, bez łbów baranich, zamiast czego na spiczastym szczycie czapki powiewa piórcpusz piór i kwiatów. Posunięcie się tej czuhy białej od północy na obszary karpackie i zawładnięcie niemi, — to najwspanialsza epopeja tatrzańska króla Wyporka, walka z wężem o koronie brylantowej, rozsiadłym wzdłuż całego grzbietu Tatr, pokonanie go i utrwalenie władztwa zarówno krwią zabitego wroga, jak kulturalnem dziełem zdobywców — osadzeniem pszczół, — to dwa momenta przeddziejów walk ludu dwóch typów, które bezpośrednio poprzedziły rozszczepienie się szczepu słowiańskiego na typy plemienne i narodowe, ale zarazem i ostatnia epoka tej wspólności i jedności Tatrzaństwa, która przetrwała do dziś dnia mimo zarysowania się znaczniejszego indywidualności narodowych słowiańskiej i polskiej z jednej strony, a rumuńskiej i madjarskiej z drugiej. (D. c. n.)



Aleksander Szneider.

(Dokończenie.)

Epoce dzisiejszej i rozpanoszonej w niej brutalnej mocy pieniądza, poświęcony jest „Mammon und sein Sclave". Na piaszczystej przestrzeni globu stoi nieruchoma, straszna w swej spiżowej martwości postać ludzka o głowie kruka, otoczonej świetlistym nimbem. W jednej ręce trzyma knut, w drugiej, spuszczonej, nieruchomo wyciągniętej, łańcuch, idący do głowy leżącego przed nią z czołem w prochu niewolnika. W „Anarchiście" nagi człowiek odwrócony plecami, ciska w przedsionku ciężkiego, asyryjskiego gmachu, bombę, podtrzymywaną oburącz nad głową. Linje nagiego ciała dobrze rysowane, tylko cały ten anarchista jest trochę za leniwy, robi wrażenie raczej chęci pozbycia się ugniatającego go ciężaru bomb, aniżeli pragnienia niszczenia. O ile ciężar, pracą wieków wytworzonej budowy społecznej jest wybornie usymbolizowany olbrzymią masą asyryjskiej struktury i ciężkością karjatyd, o tyle w człowieku brak gniewu, zbuntowanego przeciw społeczeństwu, brak satanicznego szału niszczyciela.

Zgryzota „Der Gram" — fantastycznej wielkości obydna wiedźma, z rozwianym płomienistym włosem, ze zwieszającemi się, jak wymiona, piersiami. Dłonie wpiła w ramiona syna, siedzącego w zadumie przy zwłokach ojca i tłoczy go brutalnie z góry całym swym ciężarem. W twarzy ojca, szlachetnego starca, o długiej, białej brodzie, spokój śmierci; oczy ma zamknięte tem charakterystycznem przymknięciem zapadłych powiek, jakie zwykle zmarli mają.

Tajemniczy demonizm fatum zamknął artysta w „Uczuciu zależności". Wyniosłości pustej przestrzeni globu tworzą głowę strasznego potworu, z wyciągniętemi naprzód, martwo leżącemi, ramionami. W ich półkolu stoi nagi, odwrócony do nas plecami, ze zwisającemi u rąk kajdanami, człowiek, biedny syn ziemi, nędzny

niewolnik. Opuścił ręce i głowę skulił, jakby w odruchu do ucieczki. Świecące ślepia potworu wlepione weń, zdają się czyhać na moment ruchu — a wtedy martwe ręce chwycą go za stopy i uwiężą.

Wspaniały wyrazem jest „Der Herr der Erde“. W tym Assyryjczyku, stojącym ze skrzyżowanemi na piersiach ramionami i ugniatającym sobą ziemię, czuje się zebraną moc i władzę, rozkazującą miljonom. Pod jego stopą, u dołu, w przecięciu, dane, jakby w płaskorzeźbie starych kościołów, wyobrażenie głowy Chrystusa, rozpiętego na krzyżu. Pendant do tego kartonu tworzy inny, z tytułem może wśród wszystkich najlepiej dobranym: „Jego los“. Na starożytnym, prostym tronie, w assyryjskiej, wysokiej mitrze i wschodniej szacie siedzi władzca, z twarzą okoloną małą rzadką brodą. U dołu napis Regum rex. Ten „król królów“ (którego, nie wiem dlaczego, jedno z pism naszych uczyniło papieżem) głowę pochylił naprzód, oczy wlepił przed siebie, jakby wśród tej ciszy samotnej i głuchego milczenia usłyszał tajemniczą mowę przeznaczenia i ujrzał nagle przed sobą otchłań. Za nim, w ciemnościach fantastyczny, ruchliwy cień szatana.

Ze starym, tylekrotnie używanym i nadużywanym tematem, spotykamy się we „Walce o duszę“. Na ziemi leży półnagi, stargany, bezsilny człowiek, z oczami przymkniętemi, z twarzą skurczoną spazmem bolu; rękę jedną podtrzymuje mu dobry genjusz — na nogach siadł mu wstrętny, przerażający potwór z wyciągniętą nad nim łapą; głowę zwraca ku genjuszowi i szczerzy kły, broniąc własności.

Zupełnie niezrozumiałą jest kompozycja, nosząca nazwę: „Der Männergesang“. Czy w tych czterech mężach, śpiewających w kwartecie, z których każdy przedstawia inny starożytny naród i w piątym, laurem uwieńczonym dyrygencie, chciał artysta zamknąć pieśń dziejów — jakiś wielki, historyczny chór narodów? Nie wiadomo. Nie zatrzymując się tu dłużej, przechodzę do ostatniego kartonu: „Genjusze dziejów“, z kompozycją czysto plafonową, zajmującą widza nietyle swą starą i banalną treścią, przedstawiającą trzy postacie, z których jedna spoczywa w harmonijnym spokoju, druga stoi uzbrojono mieczem i tarczą, a trzecia ze świecą w ręku siedzi schylona mozolnie, oparta o globus, nad otwartą księgą — ile grą światła idącego z dołu i rozmaicie po tych postaciach się ślizgającego.

II.

Starałem się, o ile możności, przechodząc poszczególne kartony, skupiać w kilku słowach wrażenia, odbierane od ich treści. Po tej wędrówce pora na parę szkicowych uzupełnień. W zbiorze prac Schneidra uderza najpierw pewna niejednolitość jakości. Zapewne, jest rzeczą zupełnie zwykłą, iż u każdego artysty w stopniowaniu wartości jego prac zachodzą wielkie różnice. Lecz u Schneidra owa nierówność wartości, a raczej wyraźmy się ściślej, wielkości, tyczy się nietyle wykonania, ile samych pomysłów. Obok ciężkiej alegorji w „Mammonie“, banalnego tematu w „Walce o duszę“, spotykamy pomysły tak wielkie i śmiałe, jak „Uczucie zależności“, „Jego los“ i kilka jeszcze innych. Schneider pociąga bardziej podziwu godną łatwością oddawania tego, co chciał, aniżeli tem, co dać zamierzał. Jestto ogólne wrażenie, jakie się ma najpierw po zamknięciu teki. Weźmy choćby kartony biblijne. Jest tam bezwątpienia szerokie, śmiałe i nowe pojmowanie motywów ale w samej treści pomysłów artysta właściwie nie dał nic nowego — zresztą sam rozwój tematów, nie zrodzonych we własnej duszy, ale zaczerpniętych z zewnątrz, nie nadawał się do nowatorstwa. Jest natomiast szalona łatwość środków w całkowitem wyczerpaniu granic tego, co zostało pomyślanem Podobnie i we wielu innych kartonach. Owo posługiwanie się motywami assyryjskimi, bardzo szczęśliwe, bo wyjmujące postacie niejako z czasu i nadająca im przez to cechę symbolu, jest środkiem poniekąd, w szerszem tego słowa znaczeniu, tylko technicznym, nie należącym do samego jądra treści. Ta zdolność wyczerpywania w oddaniu całkowitej treści pomysłu, wyraża się przedewszystkiem w ogromnej ekspresji rysunku. Aby ocenić tą ostatnią, trzeba widzieć „Chrystusa w piekle“ — tę moc, jaka już nie zamyka się w nim samym, ale po za nim się rozpościera, idąc jak światło przez ciemności — trzeba mieć przed oczami takiego „Pana ziemi“ lub przypomnieć sobie wreszcie rysunek postaci, odwróconych od widza, gdzie już nie twarz i oczy mówią ale linje całego ciała i ułożenie członków. Ta łatwość wypowiadania pojęć zastosowaniem oryginalnych środków i technika rysunku ratują nawet takie stare i wytarte pomysły, jak „Walka o duszę“ — a sądzę, że podobnie ratowałyby każdy temat, któregoby się jął artysta.

Wzrok widza mimowoli przedziera się przez dzieła do duszy artysty. Obok suchego pesymizmu, jest w niej jakaś szorstkość w spoglądaniu na świat. Surowa, twarda, nie cofa się przed brutalnością wyrażania się („Der Gram“), ani przed dosięganiem fantazją granic wstrętu (potwór z „Kampf um eine Seele“ i szatan z „Eins ist not“). Nie ma ona w sobie miękkich, cichych pierwiastków przynajmniej zbaczyć ich nie daje. Rzecz dziwna, jak dalece brak w tych kartonach tonów łagodnych. Chrystus u Schneidra jest bohatersko silny, potężny, sprawiedliwy, ale brak mu boskiej słodyczy i bezmiernej dobroci tego, który miłować się nakazał. A nawet tam, gdzie artysta zamknął swój pesymizm społeczny, w kompozycji zatytułowanej „Eins ist not“ — gdzie widz właśnie mógłby się spo-

dziewać pewnego rodzaju rzewnych tonów, Chrystus jest cichym ideologiem, budzącym tylko litość i niezmierne współczucie.

W pewnym, a nawet — zdaje mi się — dość ścisłym związku z tą właściwością psychiczną artysty pozostaje że się tak wyrażę, mózgowość jego utworów. Wyrażę się jaśniej, jeśli powiem, że brak w nich prawie wszystkich nastrojów innych, aniżeli czysto ideowych. Są one tak jasno pomyślane, że na odczuwanie ich miejsca już nie ma. Nawet najszersze z pomysłów, najgłębsze i najpotężniejsze są zamknięte w zwarte koło myśli — nie dopuszczają nieokreślonej nieskończoności wzruszeń w duszy widza. Cały pessymizm „Eins ist not“ idzie widzowi najpierw do mózgu — widz wpierw obejmie pomysł dokładnie myślą i odczuje smutek samej myśli, a nie obrazu. Zdaje się to zdradzać organizację mózgową, wychodzącą w procesie tworzenia z nagiego pojęcia i później już dla wytworzonego i gotowego pojęcia wyszukującą wyrazu.

T. Sob.



SOCJOLOGJA.

I.

Historja i metoda socjologji.

(Ciąg dalszy).

Najważniejsza zasługa Herberta Spencer'a polega na tem, że, unikając jednostronnego i wyłącznego stosowania w swych badaniach tej lub owej metody, oparł on konstrukcyjną część swej socjologji na prawach i spostrzeżeniach biologicznych, stronę jej opisową na etnologji, a nakoniec, wytłumaczenie zjawisk socjalnych ugruntował na psychologji ścisłej. Ale i o Spencerze nie da się powiedzieć, iż udało mu się w jego socjologicznych pracach połączyć w harmonijną całość rozmaite metody postępowania. Wbrew naturalnemu biegowi rzeczy wyprowadza on najpierw ogólne prawa, a dopiero a posteriori — niejako dla sprawdzenia tych z góry postawionych twierdzeń — daje opis odnośnych faktów. Spencerowskie „Zasady Socjologji“ powstały w okresie czasu między jego czysto syntetyczną „Socjalną Statystyką“ (1868) i czysto analityczną „Socjologją opisową“ (począwszy od 1873) i mają takie właśnie podwójne oblicze. Jedno z nich, starsze, widzi zjawiska socjalne w czysto biologicznem, drugie zaś w wyłącznie etnologicznem świetle. Obie części tych „Zasad socjologii“ nie tylko są od siebie zupełnie niezależne, ale miejsami nawet sprzeczne. Jeżeli jednak prace Spencera nie przebrzmiały dla socjologji bez następstw, jeżeli, przeciwnie, uczony ten niejedną trwałą zdobyczą dla nauki społecznej poszczycić się może, przypisać to należy przeważnie osobistym właściwościom tego badacza, jego wiedzy nader rozległej, ściśle naukowemu usposobieniu jego umysłu, które, pomimo jego silnie indywidualistycznych skłonności i systematyzowania, uchroniły go od wszelkiego zapuszczania się w szczegółowe drobiazgi i wszelkich teologicznych uprzedzeń, oraz praktycznych utylitarnych tendencji. Dla Spencera pozostaje socjologja zawsze czystą nauką przyrodniczą, dla której punktem wyjścia powinna być ścisła obserwacja i która ma dążyć do sprowadzenia swych praw do ogólnych praw ruchu. Zasadniczą ideą socjologji Spencera, zapewniającą jej taką wyższość nad badaniami Comté'a i uznaną nawet przez teoretycznych przeciwników Spencera — jest idea ewolucji, rozwoju. Ewolucja panuje nietylko w dziedzinie anorganicznej i organicznej, ale także i w sferze, jak nazwał Spencer wszystko co wykracza poza granice świata anorganicznego i organicznego — w sferze nadorganicznej, tj. w tworach socjalnych. Życie tych ostatnich przejawia się w takich „faktach, których nie dostrzegamy w żadnym izolowanym ustroju organicznym, które jednak są wynikiem wzajemnego oddziaływania na siebie tych ustrojów organicznych, wchodzących w skład społecznego agregatu“. Wychodząc z założenia ogólnego, że własności agregatu zależą od własności składających go jednostek, wywnioskował Spencer, iż musi istnieć nauka społeczna, któraby przedstawiała stosunek między jednostką i agregatem z taką dokładnością, na jaką pozwala natura odnośnych zjawisk.

Zaczynając od badania typów takich ludzi, którzy tworzą zbiorowiska małe, niepołączone ścisłemi węzłami, powinna ta nauka wykazać, w jaki sposób pewne indywidualne, umysłowe i uczuciowe cechy mogą stawiać tamę skupieniu się jednostek. Następnie, powinna ona wyjaśnić, jak małe zmiany w naturze jednostek, powstałe wskutek zmiany warunków ich życia, umożebniają skupienie się coraz większe; potem, przechodząc do zbiorowisk większych, powinna ona wyśledzić początek i powstanie stosunków społecznych, tak porządkujących, jak i produkujących; dalej, powinna wykazać, jak silniejsze i trwalsze działania pewnych wpływów społecznych, zmieniając naturę jednostek, ułatwia coraz większe skupienie się, a wskutek tego i ustrój społeczeństwa coraz zawilszym czyni. — Wreszcie, biorąc pod rozbiór wszystkie społeczeństwa, począw-

szy od najmniejszego i najbardziej barbarzyńskiego, aż do największego i na szczycie cywilizacji stojącego, powinna nauka społeczna wykazać, jakie cechy wszystkim im, z powodu wspólności natury ludzkiej, są wspólne, jakie mniej ogólne cechy, właściwe pewnym grupom społeczeństwa, wynikają z cech właściwych pewnym szczepom rodu ludzkiego i jakie właściwości danego społeczeństwa można uważać za wynik indywidualnych odrębności członków tego społeczeństwa. W każdym z tych wypadków przedmiotem jej będzie: wzrost, rozwój, budowa i działalność społeczeństwa, jako wynikłe ze współdziałania ludzi, obdarzonych od natury cechami ogólnie ludzkiemi, właściwościami szczepowemi i indywidualnemi". (Wstęp do socjologji str. 52).

Takie są według Spencera zadania socjologji. Że Spencer wiele z tych zagadnień, przynajmniej po części, rzeczywiście sam rozwiązał, że do pomyślnego rozstrzygnięcia innych wielce się przyczynił, temu nie zaprzeczą ci nawet, którzy nie godzą się, ani na jego metodę, ani na główny zrąb wyników jego socjologji.

(C. d. n.)

☆ Nowe książki. ☆

Ch. Hermeline. „Przez Europę, notatki z podróży". Paryż 1898 r.

Pokaźny tom o 350 stronicach w dużej ósemce, ozdobiony licznemi ilustracjami, daje francuskim czytelnikom, (czującym, mówiąc nawiasem, coraz bardziej potrzebę poznania innych krajów i społeczeństw), luźnie zebrane notatki i spostrzeżenia z podróży po Europie. Autor, p. Hermeline, opowiada prosto, bezpretensjonalnie co ważniejsza szczerze, i nie kusząc się o podanie całości obrazu, kreśli wiernie wrażenia, które w nim wzbudza przyroda dobrze odczuta, ludzie, posiadający już jako tacy jego sympatję, a nadewszystko przeszłość krajów ze swym tajemniczym urokiem dziejów, legend i wspomnień.

Dziewięć rozdziałów na 43 autor poświęca Polsce. Z pewnem przyjemnem zdziwieniem nie znajdujemy tu żadnych dziwolągów, spisywanych tak często przez Francuzów z okien wagonu, żadnych błędów, żadnej nawet fałszywej nuty, którą tak łatwo mogłoby sprowadzić nietrafne odczucie ze strony cudzoziemca społeczeństwa tak zamkniętego w sobie, jak nasze. Gorąca sympatja dla Polski i jej przeszłości łączy się tu z dość zewnętrznym być może, ale trafnym sądem o rzeczach widzianych i słyszanych.

„Tyle sławy i tyle nieszczęść, mówi autor, uświęciło tę ziemię, że nie wjeżdża się do niej, jak do pierwszego lepszego kraju... Dwa imiona, Irlandji i Polski, są najczystszemi, jakie dzieje Europy zapisały na swych kartach, bo tyle, co te dwa narody, żaden inny nie cierpiał. I żadna być może ojczyzna nie była tak kochaną przez swe dzieci, jak te dwie ojczyzny. W rozmowach Irlandczyków i Polaków, kiedy im się mówi o ich kraju, jest taki ogień, takie wzruszenie, jakiego się nie spotyka u obywateli wielkich mocarstw".

Autor uważa Kraków za najciekawsze, najbardziej charakterystyczne i najwięcej swojskie miasto polskie. Opisuje wygląd jego ludności, gmachy, zabytki, legendy do nich przywiązane, wspomnienia historyczne, i chociaż Polak nic tam nowego dla siebie nie znajdzie cudzoziemiec wyniesie może dość wierny obraz zewnętrznego wyglądu miasta. Osobny rozdział poświęcony jest Matejce i „Lituanji" Grottgera, z której trzy reprodukcje znajdujemy umieszczone w tekście. W Matejce autor podnosi szczególniej obrazy treści narodowej, jako lepiej odczute. „Joannie d'Arc" zarzuca zbytnie zamieszanie i odtwarzanie Francuzów średniowiecznych według typów polskich, spotykanych codziennie na ulicach Krakowa. Kartony Grottgera mają według niego, w sobie coś z duszy narodu i trzeba było być gorącym patrjotą aby je stworzyć.

Po zwiedzeniu Wieliczki p. Hermeline poświęca parę kartek wrażeniom, doznanym na granicy rosyjskiej przy rewizji paszportów i zatrzymuje się dłużej na opisie Częstochowy i jasnogórskiego klasztoru. Będąc sam księdzem, odczuwa on silnie, ale dodajmy na jego pochwałę, czysto po świecku, artystyczną i uczuciową stronę pielgrzymek i pobożności ludu, poświęca przytem dużo miejsca wspomnieniom historycznym. „W Częstochowie, dodaje zrozumiałem, że kraj ten, pomimo podziałów i prześladowań, pozostał wiernym samemu sobie. Ściąga tu lud i z Prus, i z Austrji, i z Rosji, ale nie są to ani Prusacy, ani Austrjacy, ani Rosjanie: są to poprostu Polacy, którzy swą jedność zawdzięczają w znacznym stopniu jedności wiary religijnej".

Warszawa po Krakowie, wydała się autorowi mniej interesującą, bo mniej oryginalną i bardziej nacechowaną piętnem przeciętnych miast europkjskich. Najciekawszą stroną Warszawy byłyby wspomnienia historyczne. Chciałoby się odszukać w stolicy, która tyle przeszła, pamiątki dni krwawych i przejść śladami tego męczeństwa. Nie znajduje się nic, bo Rosjanie dołożyli wszelkich starań, aby je zatrzeć".

Płynąc statkiem po Wiśle, autor nasz doznaje wrażenia że się znajduje śród puszczy, odciętej od świata i ludzi i czuje się przeniesionym w czasy odległe. Widok fortecy Modlina wyrywa go z tej zadumy. Dalej Płock, z którego wywozi miłe wspomnienia przyjęć w domach polskich, Włocławek, granica pruska, a z nią i koniec opisu.

P. Hermeline odsłania nam dwie, nowe, jak na nasze czasy, strony w tego rodzaju utworach spółczesnego piśmiennictwa francuskiego: prostotę w odczuwaniu i odtwarzaniu wrażeń doznanych i głęboką sympatję dla Polski, wolną od wszelkiej afektacji. Czyni to książkę podwójnie miłą dla czytelnika polskiego.

Z.

Wiadomości bibljograficzne.

Hobson Jan A. Rozwój kapitalizmu współczesnego przez. Z oryginału angielskiego na język polski przedłożył H. L. Wydawnictwo „Głosu" Warszawa 1898 Str. V. i 421

Nusbaum Józef Dr. Prof. Wiadomości początkowe z biologji czyli nauki o istotach żyjących. Napisał... Z 38 rysunkami w tekście Warszawa 1898 Str. 148.